Nr. 6 Rok 4 Kraków, dnia 7 lutego 1943. 40 gr.

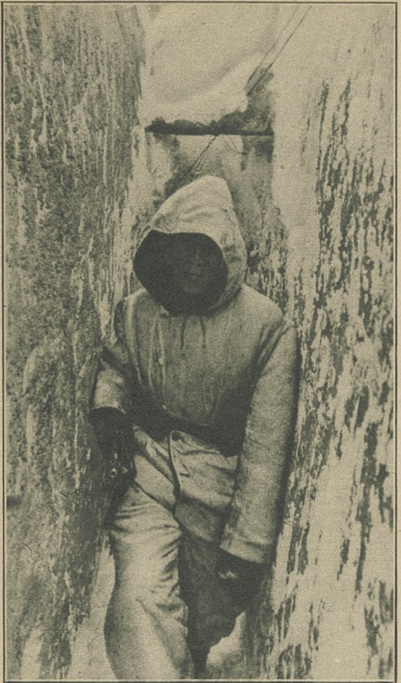
Ilustrowany POLSKI



KULIG

DO NASZEGO WIELKIEGO REPORTAŻU
ZIMOWEGO WEWNĄTRZ NUMERU

Fot. Borek







U góry:

W OKOPACH

Wzdłuż wąskiego rowu łącznikowego spieszą niemieccy grenadierzy na plac boju.

Grenadierzy niszczą nieprzyjacielskie czołgi

Na prawo:

ZA LINIĄ BOJOWĄ

Grenadier niemiecki niesie nową amunicję swym kolegom, którzy walczą na przedzie w okopach.



Na lewo:

W DRODZE DO WALKI

Niemiecka piechota, zaopatrzona w ciężką broń, w marszu na linię walk.

U góry:

W PUNKCIE OBSERWACYJNYM

Wywiadowcy niemieccy śledzą bacznie każdy ruch bolszewików.





Fot. P.K. v. d. Becke, Pospischil-Scherl, Lassberg, Jäger, Maltry-P.B.Z., Hoell-Atlantic

U góry:

W TWARDEJ WALCE

Grenadierzy niemieccy walczący w okopach odpierają atak czołgów sowieckich, które nadaremnie usiłują zrobić wyłom w liniach niemieckich.

Na prawo:

NIEPRZYJACIEL ODPARTY

Grenadierzy niemieccy przeszukują po bitwie zniszczone czołgi sowieckie.



Po całotygodniowej pracy trzeba odpocząć i rozerwać się trochę. Wio, maleńka! Pomożemy ci trochę.



Na lewo:
Już saneczki mkną wesoło w białą dal.

Na prawo:
W lecie włoskie lody, a w zimie świeży puch — to najlepsze smakołyki.





KULIG



— Siadać, proszę państwa, na plantach jest dosyć śniegu.

. . . Hej, z góry, z góry! Mknijcie saneczki!
Jadą młodzieńcy, jadą dzieweczki . . .
Gdzie jadą? — na dół, po co?
By wrócić
Znowu do góry.
Więc z góry!
Na skrzydłach wichru . . .
Przez śnieżne hale
Jadą wspaniale,
Jak samolotem,
Jak ptaka lotem,
Jak myśli strzała,
Mknie bryłka mała —
Pędzona siłą lotu i biegu,
Wolą rozkoszy i czarem śniegu,
Jak długo patrzysz — zjeżdżają sanie,
Pędzą młodzieńcy, panowie, panie
Dzieci, dzieciaki. — I długie mrowie
Ciał i dusz pije z przyrody zdrowie —
Długo, bo człowiek chciałby łańcuchem
Silnym naturę przybić do siebie,
Zżyć się z nią ciałem, sprzęgnąć się duchem,
I już na ziemi żyć, jakby . . . w niebie!

L. Cel



— Z góry, z góry. Uważać na dziury!



Poeta:
— Taki śnieg „czarem swym upaja . . ."
taki śnieg urok twój podwaja!



Człowiek czynu:
— Raz cię złapałem. Już mi się nie wywiniesz. A masz! A masz!





Zbliżamy się do kościoła Norbertanek. Tam czeka reszta towarzystwa.



Pierwszy atak od tyłu. Lecą śnieżne kule na bezbronną płeć niewieścią.

Bieg na przełaj . . . za saneczkami.



— Plosie pana, dlaczego on tak bloi? Ja sie boje... aaa!





Pod Bielanami jest postój. W przytulnej gospodzie głodomory zbierają się dokoła stołu i . . . jazda wypakować zapasy . . .



— Wiwat, niech żyje zima! — wykrzykuje Zosia wymachując butem.



„. . . a muzyczka tyrli, tyrli, a muzyczka gra!"

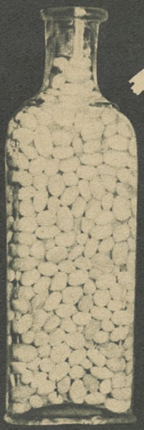
Niestety, wszystko ma swój kres. Wieczór się zbliża i rozbawione towarzystwo wraca do domowych pieleszy.



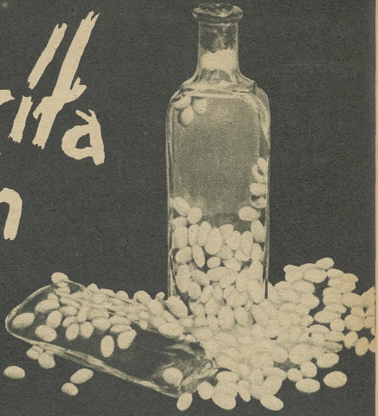
Symbol zimy i zemsty zazdrosnych amantów.

Fot. Borek

Tytaniczna siła roślin



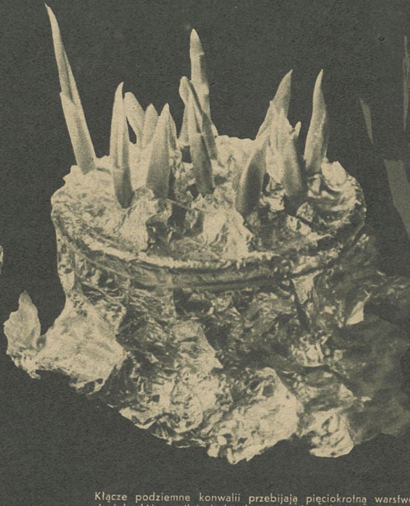
Pospolicie uważa się roślinę za istotę bez ruchu, bez czucia i bez siły. Dłuższa obserwacja i różne doświadczenia przeprowadzone na roślinach wykazały jednak, że obdarzone są one czuciem i posiadają niemniejszą siłę i wrażliwość na bodźce zewnętrzne, niż zwierzęta. Wszystkie rośliny bez wyjątku wykonywują ustawicznie mnóstwo ruchów, którymi reagują na rozliczne pobudki zewnętrzne, na światło, na wychylenie od pionu, na zmiany temperatury i na podrażnienie chemiczne. Ruchy te, które nieraz są świadectwem jej tytanicznej wprost siły, wykonuje roślina dzięki zmianom we wzroście. Wykonuje je zawsze najmłodsza, rosnąca część rośliny, a przede wszystkim kiełkująca roślina. Nasiona złożone do gleby, nieraz małe jak pyłek, o własnych siłach obracają się kiełkiem pionowo do góry. Jest to ruch, odbywający się pod wpływem wrażliwości na bodźce, którym jest w tym wypadku siła ciężkości. Ile sił potrzebuje kiełek zanim przebije się przez glebę, nieraz twardo ubitą, ujeżdżoną, albo skamieniałą glinę. Na wiosnę możemy zauważyć, jak często pomimo posuszy na polach i w ogrodach kiełkujące rośliny podnoszą wielką bryłę ziemi i wierzchołkami skłaniają się ku słońcu, przy pomocy którego powstaje w nich chlorofil, odżywka zielonych części roślin. Siła rośliny dochodzi nieraz do takich rozmiarów, że w walce o byt podnosi nawet przedmioty, podnosi je coraz wyżej, aż wreszcie pokonane spadają same i uwolniona roślina już bez przeszkód wyprostowuje swoje „obolałe" członki i z podniesionym „obliczem" dąży ku słońcu, do wysokości swojego przeznaczenia. Zbieracze grzybów wiedzą z jakiej głębokości grzyby muszą się wydostać na powierzchnię. Nieraz kapelusze ich dźwigają na sobie grubą warstwę ziemi, mchu, szpilek z drzew, a nawet korzeni. Innym dowodem tytanicznej siły roślin jest możność utrzymania się na nagich skałach, z których szczelin korzonki czerpią pokarm. Nawet wiatr nie zdoła ich strącić, ba, siła ich jest tak wielka, że nieraz powoduje pęknięcie skały i zwycięskie wydobycie się kiełkującej rośliny, czy ujarzmionego korzonka, na światło dzienne. Obserwacja roślin, budzących się do życia może być prawdziwym przeżyciem. Każdy z nas może sam wykonać doświadczenie zakładając własną cieplarnię na oknie. Do tego celu mogą służyć skrzynki lub doniczki. W lutym, a najpóźniej w marcu, zaczyna się wysiew nasion pod szkłem. Można przy tym zrobić niejedno ciekawe i rozweselające nas doświadczenie, a poza tym połączyć z korzyścią, bo z nasion kiedyś wyrośnie duża roślina.



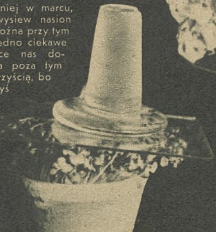
Flaszka z grubego szkła, napełniona fasolą, zalana wodą i zakorkowana szczelnie...

pęka już po upływie kilku zaledwie godzin pod naporem napęczniałych nasion.





Kłącze podziemne konwalii przebijają pięciokrotną warstwę staniolu, którym silnie była obwiązana doniczka. Kto spodziewałby się po tych delikatnych kwiatkach tyle siły żywotnej.





Kiełkujące roślinki rzepaku z zadziwiającą łatwością podnoszą szkło wraz z ciężarkiem... a w końcu zrzucają je od niechcenia i oswobodzone wyprostowują się wdzięcznie.

Fot. Dr. H. Schmidt-Schaumburg

LE MAGNIFIQUE

ROMAN CHRZĄSTOWSKI

W tawernie „Pod Białym Murzynem", około siódmej wieczorem, siedziało przy stoliku, znajdującym się na trotuarze, trzech panów, popijając „aperitif".

Jeden z nich, ubrany z dyskretną elegancją, o rękach pianisty, tłumaczył coś spokojnie swym dwom towarzyszom, którzy raczej wyglądali na marynarzy, spędzających urlop w Paryżu. Siedzący twarzą do ulicy, o szerokich barach i mięsistych wargach, nagle poczerwieniał, pięść jego z taką siłą przywarła do stolika, iż wydawało się, że blat pęknie.

— Nie wiem, Guy, do kogo z nas pijesz — sapnął z wściekłością — ale, jeżeli sądzisz...

— Nie przerywaj mi Fedor — ciągnął dalej spokojnie Guy de Magnifique.¹) — Za długo pracowaliśmy razem, byś mógł przypuszczać, że to o ciebie chodzi. Ani ciebie nie miałem na myśli, Eric — skierował papierosa w kierunku szczupłego blondyna o zaspanej twarzy. — Ale nie potrzebuję wam chyba przypominać, że tylko dzięki Ericowi, który wzniecił pożar, nie wpadliśmy przy obrabianiu tej nieszczęsnej kasy teatralnej... A podkop pod „Credit Lyonais"?... 20 000 frs wkładu i śmierć Wiktora... to był jedyny zysk. Jednym słowem się złożyło, że od pewnego czasu — same wsypy. Krótko mówiąc, wchodzi poza nami w rachubę Rod i Pamela. Ale Pamela jeszcze przed miesiącem była w Liens, więc...

Eric opróżnił do dna kieliszek i spokojnie położył go na talerzyku.

— Czekałem, aż poruszysz ten temat, Guy. Od czasu jak Rod z nami pracuje, policja przychodzi na gotowe. Wierzę ci, że cokolwiek w tej sprawie postanowisz, będzie to słuszne, Guy.

Fedor spojrzał na ulicę i, widząc młodego mężczyznę, który właśnie co przechodził jezdnię, nerwowo wsadził rękę do kieszeni. Po chwili Rod przysiadł się do nich, zdjął kapelusz i, otarłszy sobie czoło chusteczką z kieszonki marynarki, włożył go z powrotem.

— O. K!²) — zwrócił się do szefa. Le Magnifique spojrzał leniwie na swoich towarzyszy, po czym zwrócił się do przybysza.

— Służący?

— Dostał o dziesiątej rano telegram, że siostra z Grenoble jest umierająca i przed dwoma godzinami odjechał z dworca Lyońskiego.

— Baron?

— Zamówił lożę w „Comedie" oraz stolik na dwie osoby w „Ambassadeurs". Mamy więc co najmniej do drugiej w nocy czas, a nawet nie wiem, czy przed czwartą wróci. To nie jest w jego zwyczaju.

— Butle? — wtrącił Eric.

— Paka z acetylenem leży przed drzwiami kuchennymi. Dostawiła ją firma „Transportes" podczas nieobecności służącego, i mam wrażenie, że się nią do nocy nikt nie zainteresuje. Wszystko, co mi poleciłeś, Guy, zostało wykonane.

Zatarł ręce i spojrzał wesoło wokoło. Le Magnifique kiwnął potakująco głową.

— Tak, zrobiłeś swoje. Reszta należy do nas.

— Jakto?! Guy! Czy chcecie odwalić robotę beze mnie?

— Słuchaj Rod!—Le Magnifique patrzał mu prosto w oczy.— Nie będę z tobą grał w zamknięte karty. Przed chwilą zwróciliśmy uwagę na szczególny zbieg okoliczności, że od czasu, jak z nami pracujesz, policja depcze nam po piętach.

Rod zbladł nagle i wykonał tak niezręczny ruch ręką, że kieliszek zleciał na ziemię. Fedor, którego ramię jakby sprężyło się pod marynarką, spokojnie mu się przyglądał, jego wargi były lekko rozchylone, zdawało się, że cicho gwiżdże.

— Zrozum — ciągnął dalej Guy — że jestem odpowiedzialny za ciebie przed nimi, gdy cię jako nowicjusza do nas przyjąłem ... — niedbale poprawił sobie krawat. — A teraz co postanowiłem... Za chwilę wsiądziemy do auta i pojedziemy do pewnej ustronnej willi, gdzie przygotowałem dla ciebie pomieszczenie. Nie ma tam wprawdzie okna, ale na stoliku znajdziesz piękną lampkę z abażurem. — Na chwilę przerwał i oczy jego lekko zmrużyły się. — Tylko bez dziecinad... Hę?... Jeżeli robota pójdzie w porządku, — ciągnął dalej cichym głosem — jeszcze w nocy do ciebie przyjedziemy. Dostaniesz normalną część łupu, jak gdybyś pracował z nami. Ale... w razie wsypy... zginiesz z głodu. Wszystko jest tak przygotowane, że co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości.

Spojrzał spokojnie na zegarek i skinął ręką na kelnera. Rod bez słowa opróżnił swą szklaneczkę, unikając wzroku swych towarzyszy. Bezmyślnie przyglądał się kwiatom, które pięły się po balustradzie, i ocknął się dopiero, gdy Fedor dotknął jego ramienia. Nikt z gości, siedzących w kawiarni nie zauważył, że czterej panowie, wsiadający do auta, rozegrali przed chwilą grę, której stawką mogło być życie.

* * *

Posterunkowy P. M. 127 minął właśnie róg ulicy, gdy zauważył, jak przed willą zatrzymało się auto. Za chwilę zajaśniały w świetle latarni przepyszne blond włosy i srebrna lama, wyłaniająca się spod futrzanej etoli. Młoda kobieta drobnym krokiem podeszła do drzwi wejściowych, otulając się szczelnie przed chłodem nocy.

— Ho! ho! — pomyślał — nasz baron złowił sobie nową rybkę. Za chwilę zapali się duży pająk w salonie, pewnie z godzinę światło będzie się świeciło, a potem... Ale racja, auto czeka, więc jeszcze będzie nocna eskapada... Cóż mu się stało, że nie może drzwi otworzyć?

Le Magnifique zaklął cicho — Do diabła! Nie dopasowali dobrze klucza — kręcił nerwowo ręką przy zamku.

— Pośpiesz się — szepnęła Pamela, naciskając klamkę — jest coraz bliżej i za chwilę pozna, że nie jesteś baronem.

Wreszcie zamek szczęknął i drzwi otworzyły się. Guy pierwszy wsunął się do środka i przekręcił kontakt elektryczny. W hallu pachniało starymi meblami oraz lawendą, gdzieś z boku tykał powoli zegar. Pamela zawiesiła zarzutkę na halabardzie rycerza, którego zbroja lśniła się obok antycznego zegara, i, zaświeciwszy światło w salonie, rzuciła się na miękką kanapkę i zapaliła papierosa. Le Magnifique udał się szybko do kuchni i odryglował drzwi zewnętrzne.

Zawołał cicho: — Eric!

Odpowiedział mu głos z ciemności. — Spóźniliście się, jest już po dziesiątej — po czym rozległy się ciche kroki po żwirze i z lekkim sapaniem wnieśli skrzynię do środka.

Guy przyświecał im latarką, przeszli hall i zaczęli się piąć do góry schodami aż doszli do sypialni. Podszedł do okna i zaciągnął grubą zasłonę po czym zapalił światło.

— Na szczęście baronek używa w swojej sypialni solidnych zasłon — rozejrzał się wokoło. — Pewnie za tym obrazem chowa swoje świecidełka, — wskazał na przeciwległą ścianę, na której wisiał jakiś portret kobiecy.

Podczas gdy Eric i Fedor wkładali skórzane fartuchy i rękawice, zbliżył się do obrazu i zdjął go. — O!... Kopia Mony Lizy!... I cóż moja panienko, ciągle tak tajemniczo uśmiechasz się? — odwrócił portret i oparł go o ścianę, po czym przyglądał się gałkom kasy pancernej, błyszczącym w otworze ściany.

— Solingen! Czeka was porządna robota.

Eric zaczął opukiwać sztabą żelazną ścianę wokoło, podczas gdy Fedor wyjmował ze skrzyni aparat do przecinania płyt stalowych.

Gdy Guy wszedł do salonu, Pamela, która przesunęła sobie do kanapy bar na kółkach, była zajęta przyrządzaniem coctailu.

— Dla mnie „Manhattan" — rzekł podkasując poły fraka, po czym położył się na kanapie, opierając nogi o poręcz i założył ręce pod głowę. — Może włączysz radio?

Pamela podeszła do szafki, stojącej w kącie i przekręciła gałkę, błysnęło światełko i za chwilę zaczęła coraz wyraźniej sączyć się z pudła muzyka taneczna. Minuty mijały jedna za drugą, speaker zapowiadał coraz to nowe przeboje, i tylko, od czasu do czasu, dochodził lekki stuk z góry.

Guy myślał o Rodzie. Młody chłopak, nigdy nie daruje mu tego, że został niesłusznie posądzony. Z czasem nastąpi rozluźnienie dyscypliny, a to już jest początek końca. Co go też przyciągnęło do tego chłopaka, że przyjął go do paczki?

— Czuję niepokój — przerwała Pamela — możeby zbadać, jak tam na dworze wygląda?

Guy podniósł się z pozycji leżącej. — Jesteśmy albo tak otoczeni, że mysz się stąd nie wydostanie, albo, według ludzkich obliczeń, baron wróci grubo po nas. Rod miał go pilnować, ale to i tak...

Trrrach!!!

Ogłuszający huk wstrząsnął wszystkim, światło nagle zgasło, muzyka urwała się w jakiejś synkopie i wydawało się, że, po nieskończenie długiej przerwie, dał się szyszeć brzęk spadających szyb.

— Acetylen! — jęknął le Magnifique, chwycił Pamelę za ramię i pchnął ją w kierunku hallu. Światło latarki elektrycznej nerwowo skakało po ścianach. Zarzucił jej futro na ramiona i pchnął w kierunku drzwi wyjściowych.

— Szybko siadaj do auta i nie czekaj na nas!

— Guy! Ja bez ciebie nie pójdę...

— Go on!... Hurry up!³) — wrzasnął i pod wpływem gangsterskiej komendy poddała się automatycznie jego rozkazowi.

Guy w kilku susach przebiegł klatkę schodową i gwałtownie otworzył drzwi. Buchnął w niego kłąb dymu gryzącego. Cały pokój tonął w czerwonym świetle, w kilku miejscach płomienie wysoko drgały w powietrzu. Z głową, opartą o ścianę, z rozstawionymi rękami i nogami, leżał Fedor, oczy jego były otwarte, z niedomkniętych ust wydobywała się cienka struga krwi.

Wybuch gazu rzucił nim o ścianę, widocznie miał strzaskaną czaszkę. Guy chciał krzyknąć, ale mógł tylko kaszleć i pluć. Wreszcie zauważył Erica, leżącego w kącie pokoju. Przy blasku tańczących płomieni wydawało się, że się porusza. Podszedł do niego, chwycił za ramiona i wyciągnął na korytarz. Ukląkł obok i podłożył rękę pod głowę; poczuł, że włosy jego są zalane krwią. Ostrożnie spuścił głowę na ziemię i palcami rozchylił powieki, zaświecił latarką, ale oko nie reagowało na błysk. Tak, to jest koniec, pomyślał, ale dla pewności przyłożył ucho do klatki piersiowej i przez dłuższy czas nadsłuchiwał.

W tem dały się słyszeć na dole głosy ludzkie oraz tupot nóg.

Posterunkowy P. M. 127 zauważył nagle, jak z pokoju na pierwszym piętrze buchnęły płomienie, po czym dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła. Przez chwilę stał zdumiony w miejscu, nagle zawrócił i podbiegł do pobliskiego automatu alarmowego. Wybił szybkę, pociągnął za rączkę, następnie wyrwał gwizdawkę i biegnąc z powrotem, dawał ostre sygnały. Po chwili wyłonił się z ciemności patrol rowerowy i zrównał się z nim. Wskazał ręką na płonące okno z daleka, właśnie z willi wyskoczyła kobieta i podbiegła do auta.

— Hallo!... Proszę zaczekać!... — zawołał — Zaczeeekać!

Ale auto nagle ruszyło i po chwili zniknęło za rogiem. Dopiero teraz zauważył, że numer nie był oświetlony. To go skłoniło, że nie pobiegł za agentami do środka, tylko z odbezpieczonym browningiem udał się na tył domu.

* * *

Gdzieś daleko dzwonił dzwonek.

Wydawało się, że trwa to nieskończenie długo, a gdy nareszcie ustało, pozostał nieustanny dźwięk, podobny do cichego gwizdu. Le Magnifique poruszył głową, ale poczuł głuchy ból koło nasady, otworzył oczy, pokój był biały, u góry świeciła się lampa w białej umbrze. Dlaczego wszystko takie białe? I co ten gwizd oznacza? Chciał podnieść rękę, by sobie przetrzeć oczy, ale nagle poczuł ukłucie ostrego bólu w ramieniu. Przypomniał sobie wszystko. Pożar, Eric... gdy przebijał się przez okno, dostał kulę w ramię, skok w dół i potem stracił przytomność, pewnie głową wyrżnął i stąd ten gwizd nieustanny. Acha!... Więc jest w szpitalu, a nie we więzieniu, na oknie nie ma krat. Spojrzał w lewo i nagle zauważył granatowy mundur, na krześle siedział, oparty głową o ścianą, „flic"⁴) i drzemał. Guy zamknął zrezygnowanie oczy i czuł, że z powrotem ogarnia go senność, gdy nagle ostra myśl zaświdrowała mu w mózgu, aż jęknął.

Rod!!!

A jeżeli on tu już dzień, lub dwa, tak nieprzytomnie leży? Krew uderzyła mu do głowy i poczuł, jak gdyby poprzednie osłabienie nagle minęło. Usiadł na łóżku i spuścił nogi w dół. Poczuł pragnienie i sięgnął ręką po szklankę, ale nie można było marnować czasu. Cicho podszedł do drzwi, ostrożnie otworzył i znalazł się na ciemno oświetlonym korytarzu, który kończył się klatką schodową.

Gdy podszedł do schodów, usłyszał, jak ktoś schodzi na dół. Gwałtownie cofnął się i nacisnął klamkę pierwszych drzwi na lewo. Pokój był pusty, na biurku paliła się lampa, po szklanej szafce poznał, że należy do lekarza dyżurnego. Na wieszaku wisiał płaszcz i kapelusz. Le Magnifiuue spojrzał na swoją pyżamę szpitalną; w takim stroju nie ma mowy, by się stąd wydostał. Szybko narzucił na siebie płaszcz, obwiązał szalikiem szyję, zerwał bandaż z głowy i rzucił go do kosza z papierami, chwycił za kapelusz i wyglądnął na korytarz.

Wszędzie było pusto i cicho.

Za chwilę był na parterze, otworzył sobie drzwi służbowe i był na dworze. Zimne powietrze orzeźwiło go, wydawało mu się, że chodzenie nie sprawia mu najmniejszego trudu, nogi unosiły go bez wysiłku, czuł tylko przyjemny chłód betonu. Po obydwóch stronach alei ciągnęły się bloki gmachów szpitalnych, w niektórych oknach paliło się światło. Przypomniał sobie, że nie może wydostać się stąd głównym wyjściem, gdyż portier go nie przepuści.

Skręcił pomiędzy dwa gmachy i doszedł do żelaznego ogrodzenia, o wysokich spiczastych sztabach, które oddzielało teren szpitala od ulicy. Przerzucił płaszcz na drugą stronę i, pomagając sobie bosymi stopami, wspiął się do góry. Nagle dostał zawrotu głowy, zachwiał się i zawisł na chorym ramieniu. Koniec sztaby wbił się między bandaż i ranę powodując ból, jak gdyby żelazo było rozpalone. Światło latarni wydało się nagle tak jasne, że musiał przymknąć oczy, ale ognista kula nadal pędziła w niego.

Wreszcie oswobodził rękę i runął w dół. Po chwili odpoczynku włożył na siebie płaszcz i, zataczając się, przeszedł na drugą stronę ulicy, poczem skręcił w bok. Z daleka migotało czerwone światełko postoju taksówek. Dostał nagle tak silnych mdłości, że musiał się oprzeć o mur i przytulił wargi do zimnej ściany i tak chwilę odpoczywał, wreszcie chwiejnym krokiem doszedł do taksówki, otworzył drzwi i padł do środka.

Szofer, nagle obudzony, odwrócił się i wyciągnął rękę, by zaświecić lampkę.

— Proszę nie zapalać. Niech pan szybko jedzie — podał adres. — Czy nie ma pan przy sobie trochę wódki?

Szofer, włączając motor, kiwnął przecząco głową. — Przydałoby się tak z soboty na niedzielę pociągnąć sobie.

A więc to jeszcze ciągle ta sama noc. Oparł głowę w tył i poczuł dreszcze, szum w głowie wzmógł się, niemile zimno przylegało gdzieś z prawej strony. Dotknął ręką pyżamy, cała była mokra od krwi. Czuł, że choć na sekundę musi zamknąć oczy i po chwili zapadł w ciemne czeluści nieświadomości.

Nagle poczuł silne szarpnięcie. Gdzieś z daleka dochodził głos — Jesteśmy na miejscu. — Acha!... Rod... — z wysiłkiem ruszył się.

— Dobrze, proszę... zawrócić... — Otworzył drzwiczki i zsunął się na dół.

Jak to miło, że ziemia jest taka zimna, chciałby ciągle tak chodzić. Doszedł do drzwi i nacisnął guzik elektrycznego zamku, koło klamki zabrzęczało i drzwi otworzyły się.

Ledwo wdrapał się na schodki wejściowe. Na szczęście już tylko korytarz i potem schody w dół. Przy każdym kroku czuł, że serce chce mu się wyrwać z klatki piersiowej, wreszcie pociągnął za rygiel i runął do środka.

Rod zerwał się i podskoczył do leżącego.

— Guy! — krzyknął ze zdumieniem — co się stało?!

Le Magnifique leżał nieruchomo, z piersi jego wydobywało się urywane rzężenie, obydwie ręce były poplamione krwią, na twarzy ślady oparzenia. Rod podskoczył do stolika, napełnił kieliszek koniakiem i przyłożył mu do ust. Ranny otworzył oczy i jakby lekko uśmiechnął się.

— Rod!... Eric... nie.. ży.. ją. — Chwilę poruszał bezgłośnie wargami, jak gdyby chciał złapać powietrze, wreszcie wyszeptał.

— Rod... zerwij... z tym... nie war... to...

Ciałem jego zaczęły wstrząsać drgawki.

* * *

W ogrodzie Luksemburskim siedział na ławce młody człowiek i czytał gazetę. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że ręka jego drgała silnie, a po twarzy spływały łzy. A najdziwniejszym było, że artykuł, który tak wzruszył młodego mężczyznę, nosił tytuł „Echa napadu na willę barona F. de B."

„... — władze do tej pory nie wyjaśniły zagadki, co skłoniło bandytę Guy, zwanego le Magnifique, do ucieczki ze szpitala, którą z powodu utraty krwi i ogólnego wyczerpania, przepłacił życiem. Fakt, że le Magnifique kazał się wieźć do opuszczonej i nieurządzonej willi przy Lasku Bulońskim, by położyć się w piwnicy na łóżku polowym, jest o tyle niezrozumiały, że wiadomo, iż słynny bandyta miał w różnych dzielnicach Paryża ukryte mieszkania z obsługą, oraz garsoniery, z których jedno już policja odkryła. Mamy nadzieję..."

¹) „Wspaniały"; ²) „Wszystko w porządku"; ³) Idź precz!... Śpiesz się!; ⁴) Policjant (w żargonie).

ŚNIEG...

moja Legenda

Nad ziemią było zimno. Wiatr świstał złowieszczo.
Przez rozdarte obłoki wpadła fala chłodu
do nieba. — Królowa zdjęta nagłym dreszczem
rzekła: „niech mi ktoś płaszcz mój poda".
Ledwie zaczęła mówić Pani Święta
pobiegły dwa aniołki co sił w piętach...
płaszcz srebrzał opodal, na tronie,
ustawionym wśród krzaków róży —
obaj naraz chwycili go w dłonie,
bo każdy skwapliwie chciał Władczyni służyć.
— Puść! — Nie! — Puść, mówię ci!
— Nie puszczę, ani mi się śni!
Nastroszyli buzie gniewno
i ciągnęli: ten w prawo — ten w lewo —
Nagle młodszy, jako bardziej krewki,
puścił i z piąstkami skoczył na rywala
...wtem srebrzysty śmiech Pani dobiegł z dala...
więc wzięli się za łyczki, piszcząc: „...a ty! a ty!..."
a każdy się ze złości i żalu rozełkał.
Płaszcz upadł. Rozgorzała bójka nie na żarty,
bo chwycili się w gniewie wielkim za skrzydełka
i nuż larmosić... szarpać... więc piórka prześliczne
biało-srebrnym poczęły wirować tumanem
„wiadomo, że aniołom gdy piórko się wydrze
natychmiast im odrasta drugie takie same..." —
wreszcie wszystko zniknęło: Cherubiny, Chóry,
Serafiny i Trony... w tym puchu anielskim, —
rozniosły się po niebie całym miękkie chmury,
jakby nie miał przyjść koniec tej wesołej klęski.
Wreszcie przez chmur szczeliny białe, cudnie drżące
jęły sypać się... sypać... na ziemię człowieczą!
świat otuliły sobą i zakryły słońce!
padły na oziminy kołderką bezpieczną,
a lasy przystroiły najśliczniejszą z bajek!

I leciała... leciała... puchu srebrna masa... ...
Tymczasem jak huk gromotu śmiech przeleciał Rajem —
wreszcie Archanioł Michał dał obydwom klapsa,
podniósł płaszcz i, klęknąwszy, podał Monarchini.
Kłótniki, pod tron wlazłszy, jęły chlipać głośno... ...
A puch spada bez przerwy — więc się zima czyni
i śnieg otula wszystko najbielszą radością — — — —

M. A. Hessel

ROZMAITOŚCI

OSOBLIWE ZAŚLUBINY

Ludzie mają najrozmaitsze przymioty, najróżniejsze wady, najniepoczytalniejsze pomysły i postanowienia.

Jedni są łatwowierni, inni dobroduszni, ci znowu optymiści, owi wieczni malkontenci i świat czarnymi barwy strojący.

Są ufający wszystkiemu i wszystkim, są też niewierzący ani niedowierzający nikomu i nigdy.

A gdy do ostatnich właściwości natury przyłączy się jeszcze zazdrość, — nie daj wówczas Boze stanąć komuś na drodze takiemu osobnikowi!

Każdy gest, każde słowo, każde spojrzenie odpowiednio do swego widzi mi się wytłumaczy sobie, mając o tobie jaknajgorsze wyobrażenie i posądzając cię z góry o wszystko najgorsze.

Rzecz oczywista, że powyższe dotyczy tak zwykłych śmiertelników jak i stojących „wysoko" na szczeblach drabiny społecznej.

Bo, mówiąc prosto z mostu, zazdrość nie wybiera, a o niej właśnie tutaj mówić chcemy.

Wypadek zaś, stanowiący treść niniejszego opowiadania był zdaje się unikatem w dziejach, i chyba już nigdy więcej nie zdarzy się.

Ale zacznijmy od początku.

Alfons VI król Portugalii, zaręczył się w roku 1666 z księżniczką Marią Franciszką Elżbietą Sabaudzką. Ślub odbyć się miał przez „pomocnika" czyli w zastępstwie.

Pełnomocnikiem mianowano posła nadzwyczajnego, markiza de Sardes.

Ledwo jednak markiz wyjechał, gdy na kilka dni jeszcze przed ceremonią ślubną młodego króla poczęła dręczyć zazdrość; kochał bowiem namiętnie swą piękną narzeczoną, pomimo, że znał ją tylko z portretu!

Więc nie on pierwszy ujrzeć ma boginkę swoich snów, ale markiz? Nie on pierwszy ujmie przy ślubie dłoń Marii, ale inny mężczyzna?

Markiz de Sardes był przystojny i młody. To odebrało do reszty humor i spokój królowi. Wysyła tedy Alfons VI. kuriera z zastrzerzeniem, by markizowi nie dawano ślubu z księżniczką, ale by wybrała sobie ona też zastępcę, a nie zastępczynię!

Dziwaczne żądanie zostało ze względów politycznych spełnione, a księżniczkę reprezentował przy ślubie brat jej stryjeczny książę de Vendome.

Tak to arcybiskup Laoński połączył tedy ślubem w Roszelli dwóch mężczyzn, bo tak chciał ukoronowany zazdrośnik.

KRÓLEWSKIE PSY

Wielu ludzi oddaje się z zapałem pielęgnacji czworonożnych swych ulubieńców, różnych ras i różnych pojętności. Nie omijała podobna słabość czy pasja nawet głów koronowanych, przechodząc do kart historii wraz z mianami tak wysoko postawionych faworytów, — jak to właśnie chcemy opowiedzieć.

Król francuski Henryk III (1574—1589), był tak wielkim amatorem psów, że wydawał na nie rocznie 100 000 ówczesnych talarów!!!

Między innymi posiadał on trzy szczególnie umiłowane małe pieski smyrneńskie, noszone przez niego w zawieszonym na szyi koszyczku (fakt historyczny!), który to koszyczek podtrzymywał złoty łańcuch.

Największą przyjemnością monarchy było, przebywanie sam na sam ze swymi pieskami.

Owe małoazjatyckie Smyrneńczyki o imionach Liline, Mimo oraz Titi, sprowadzone z ogromnym kosztem do Francji, przywiązane były, to prawda, ogromnie do króla. Wyuczono je stać na warcie u drzwi gabinetu monarszego, co spełniały nadzwyczaj wdzięcznie i bardzo chętnie. Nocą czuwały u łoża królewskiego nad bezpieczeństwem swojego pana. A bezpieczeństwo to niestety okazało się krótkotrwałe.

Wiadomą jest rzeczą, że pewien fanatyk nazwiskiem Jacques Clement przybył w dniu 1 sierpnia 1589 r. umyślnie z Paryża do St. Cloud, gdzie bawił wówczas Henryk III, by go podstępnie zamordować.

Gdy go wprowadzono do gabinetu króla, rzekomo dla wręczenia listu mającego służyć za pretekst do łatwiejszego wykonania zbrodni, Liline, zawsze bardzo spokojna poczęła warczeć złowrogo i jeżyć włos.

Nie dał baczenia na to niestety monarcha i kazał usunąć z gabinetu do przyległego pokoju pieski.

Liline zajadle broniła się przed tym afrontem, chcąc kąsać pokojowca i rzucając się z ujadaniem na nieznajomego.

W drugim pokoju niepokój Liline doszedł do zenitu, a w chwilę potem padł Henryk III ugodzony skrytobójczo sztyletem po dwakroć.

Choć miał jeszcze tyle siły, że wyciągnął ostrze z rany, pchnięcia były tak głęboko wymierzone, że król zaledwo dnia następnego doczekał, osierocając między innymi trzy historyczne u tronu Francji pieski, Liline, Mimi i Titi.

WIELKOLUDY

Długi bardzo czas uważano mieszkańców Patagonii za niebezpiecznych olbrzymów. Towarzysz Magellana opływającego dokoła ziemię, poznawszy ich po raz pierwszy w r. 1520, pisał: „Najniższy z tych dziwo-ludów przechodzi wzrostem najwyższych z nas." Ale już Francis Draker kapitan okrętu, który w 1578 r. stał dość długo na kotwicy w zatoce St. Juliana, zapewnia, ze „nie są wcale wyżsi od Europejczyków". Na to jednak odpowiedział żeglarz Schouton, że sam znalazł na wybrzeżu Patagonii szkielety ludzkie długie na 10 i 11 stóp. Kwestia ta długo była sporna i dyskutowana w krajach europejskich.

Lata minęły i dopiero spostrzeżenia innych podróżników podały za rzecz pewną, że jakkolwiek Patagończycy nie są olbrzymami, przecież należą do najroślejszych okazów rodu ludzkiego. Pisano o tym: „Wzrost 7—8 stóp, zatem dochodzący do 2 metrów, nie jest bynajmniej u nich rzadkością. Że bywali jeszcze wyżsi, to też prawda."

Gdy mówimy o „wielkoludach" patagońskich, warto nadmienić, że nietylko Patagonia skich, warto nadmienić, że nie tylko Patagonia pokazywał się w Stanach Zjednoczonych za pieniądze pewien Kentukijczyk, mający dokładnie 2 metry wysokości.

Haller, który ze wszystkich pisarzy najwięcej „Olbrzymami" się zajmował, powiada, że maksimum wzrostu ludzkiego wynosi 9 stóp. Wszystko inne to bajki i brednie!

A przecież, jak się pokazuje, żył niegdyś człowiek, patrzący na swych bliźnich jak na karłów.

Miał on 12 stóp wzrostu, czyli około 3 metrów!

W starych bowiem kronikach prowincjonalnych szlezwicko-holsztyńskich znajduje się wzmianka (r. 1788), o zaginionej dziś wyspie Galamshull, a przy niej dopisek tej treści:

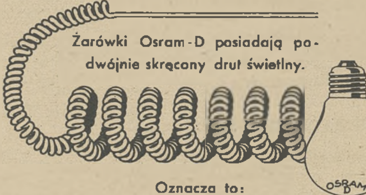
„W roku 1749 przy zburzeniu dawnego a zakładaniu fundamentów do nowego kościoła, wykopano trumnę długości do wiary niepodobnej.

Gdy ją otwarto, znaleziono w niej szkielet olbrzyma, którego każdy członek miał prawie podwójną długość członków zwyczajnych człowieka. Żyje jeszcze wielu ludzi, co byli świadkami tego."

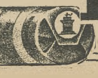
Patagonia zatem zdystansowana byłaby najoczywiściej. Kto nie wierzy, niechaj sam bada stare kroniki, a może da się przekonać.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900









PRZYGODA PSYCHIATRY

LUCJAN MŚCICHOWSKI

Znany psychiatra dr. Pies, siedział zmęczony w swoim fotelu koło biurka i paląc cygaro oddawał się z rozkoszą słodkiemu próżnowaniu — dolce, far niente — jak to nazywają Włosi.

Na dworze hulała śnieżna zawierucha i dął mroźny wiatr. Dnia tego przewinęło się przed nim tylu nerwowo chorych, histeryków, półgłówków, wariatów lub zgoła szaleńców, że doktór z niepokojem obliczał ilość mieszkańców miasta w zestawieniu z dniami i godzinami pracy, w których to odcinkach czasu, coraz trudniej mieścili się chorzy.

Nagle w poczekalni zadrgał znowu krótko, gwałtownie dzwonek. Lekarz pochylił głowę jak przed ciężką koniecznością, podczas gdy dziewczyna otwierała w przedpokoju drzwi.

— Czy jest pan doktór — zapytał milutki głosik.

— Tak, proszę, niech pani pozwoli.

Dr. Pies uniósł się ciężko ze swego wygodnego locum. Sam otworzył drzwi gabinetu i uprzejmie zaprosił pacjentkę do środka. Była to młoda, elegancka kobieta, z ciemnymi, przejmująco pięknymi oczyma. Ani śladu jakiegokolwiek idee fixe.

— Proszę, niech pani spocznie — rzekł lekarz, wskazując stojące naprzeciw krzesło. — Czym mogę służyć?

Zapalił cygaro, co bardzo uspokajająco wpływa na samego pacjenta.

— Chciałabym przedtem zapytać pana doktora, czy pan czytał Bunina „Łapcie". Taka niewielka sobie nowela...

Lekarz badawczo zerknął spod okularów, nie domyślając się jeszcze rodzaju aberacji.

— „Łapcie"? Nie, nie czytałem, niestety.

— Otóż w tej noweli pewne chore dziecko, żąda w gorączce koniecznie czerwonych łapci. Matka z rozpaczy odchodzi od zmysłów. Co robić, czym mu pomódz? Na dworze nieprzejrzana zawieja, mąż wyjechał, konie liche, a do szpitala, do doktora trzydzieści wiorst. Zresztą nikt nie pojedzie w taką zawieruchę. W białym i zimnym domu folwarcznym zapada blady zmrok. A dziecko kwili żałośnie i błaga.

— Mamo, daj łapcie, czerwone łapcie! Mamusiu droga, daj, co ci to szkodzi?

W tem zastukano do przedpokoju. Wchodzi stary Wojciech; przyniósł słomy do palenia, zwalił ją na podłogę, sapał, wycierał się, dyszał zimnem i wilgocią zawiei, uchylił drzwi i zajrzał:

— No i co, proszę pani, jakże tam? Nie lepiej?

— Gdzie tam, Wojciechu! Pewno nie wyżyje! Wciąż prosi o jakieś czerwone łapcie.

— Łapcie? Jakież to łapcie?

— Bóg wiedzieć raczy... Bredzi naturalnie, cały płonie ogniem.

Stary zamyślił się głęboko.

— To znaczy, że trzeba je zdobyć — rzucił nagle twardo. — To znaczy, że dusza pragnie. Trzeba zdobywać.

— Jak zdobyć? Skąd?

— Trzeba iść do Nowosiełek, na wieś. Do sklepu. Pomalować nie żadna sztuka.

— Bóg z tobą, przecież do Nowosiełek sześć wiorst! Gdzież dojść w taki czas okropny.

— Nic nie szkodzi, pójdę — rzekł stanowczo Wojciech. Dojechać się nie da, ale piechotą może się jakoś dowlokę. Śnieg będzie mnie walił z tyłu. — I zamknąwszy drzwi wyszedł.

— Ale widzę, że pan doktór znużony już moim opowiadaniem — przerwała z zawodem w głosie — więc dokończę szybko tę historię. Dziecko zostało uratowane. Wprawdzie stary Wojciech nie wrócił więcej żywy, bo znaleziono go zmarzniętym o dwa kroki od domu, ale pod pazuchą trzymał nowiutkie dziecięce łapcie i pęcherzyk z fuksyną.

Lekarz spoglądał na nią zafrasowany.

— Mąż mój zachorował na pewną osobliwą chorobę — wyjaśniła rumieniąc się. — Zadręcza mnie pytaniami, na które nie zawsze mogę dać odpowiedź. Ale on jak to dziecko spragnione czerwonych łapci, z uporem uczniaka żąda ciągłych odpowiedzi. Wskutek przemęczenia studiami zatracił rozumienie wyrazów o podstawowym brzmieniu. Co to jest dotacja, donacja, detonacja, a adnotacja itp. Oto jego ciągłe pytania. Pan jest psychiatrą, panie doktorze, wierzę, że pan cierpliwie da sobie z nim radę; ja o mało już nie oszaleję. Panie doktorze, błagam Pana, niech Pan zaraz ze mną pójdzie.

I już za chwilę, jak stary Wojciech, znalazł się doktór w pośrodku kłębiącej się zamieci śnieżnej, aby ratować chorego.

Wreszcie zziębnięci do szpiku kości dobrnęli do celu wyprawy. Chory stał odwrócony tyłem przy oknie. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się pośpiesznie.

— Otóż jest czwarty do brydża — zawołał z radością — ale skąd weźmiemy trzeciego?

— Nic nie szkodzi — uspokajał go doktór nie tracąc rezonu — możemy zagrać w preferka.

— Preferka, prefekta, preweta, projekta, korekta — szeptał gorączkowo — czy mógłby mi pan wytłomaczyć co to wszystko znaczy?

— Ależ z największą przyjemnością, pozwoli pan tylko, że spocznę. Preferek, a właściwiej preferans, jest to trzy osobowa gra w karty.

— Acha.

— Prefekt zaś, jest to w najpopularniejszym znaczeniu ksiądz nauczający religii w szkołach, u Rzymian zaś była to godność niektórych wielkorządców...

— Tak, niezwykle, to zajmujące. Podaj nam Haniu herbaty — wołał „stuknięty" przysiadając się do doktora. — No, więc, więc...

— Także we Francji nosili ten tytuł naczelnicy administracyjni departamentów.

— Departamentów? Świetnie, jakaż jednak różnica jest między departamentem, temperamentem, apartamentem, asortymentem i dajmy na to atramentem.

— Ta różnica — spróbował zażartować lekarz, — że tyko tym ostatnim może pan sobie poczernić palce.

— No tak, oczywiście — śmiał się chory, z chytrym postanowieniem w oczach natychmiastowego poczernienia sobie palców, po wyjściu lekarza.

— Ale to jeszcze nie wszystko. Są słowa, od których mąci mi się w głowie: konfitura i dekonfitura, dyferencja i dyferencjacja, alibaba i alidada, antenat i atentat, elipsa i eklipsa, autodydakt i autodyktat, dyspersja i dyspepsja... Jakże odróżnić taką mnogość podobieństw, tantacyzmów, analogizmów...

— Stop! — przerwał mu doktór w obawie, by nie wpadł w nowe jakieś „izmy", którym by już oczywiście nie poradził.

— Konfitura jest to to, co właśnie w tej chwili żona pańska wnosi na talerzyku. Dekonfitura jest zaś to, co teraz pańska połowica czuje z jego powodu. Alibabą jesteś pan w stosunku do mnie, a alidada to część kątomierza, której szkoda, że w tej chwili nie mam pod ręką...

— Ale dziękuję pani za herbatę — zawołał patrząc z przestrachem w ciemniejące granatem okno — dziękuję za konfitury i dekonfitury, musiałbym sam przedtem zwariować, żeby...

— A dyferencja i dyferencjacja — wołał uporczywie chory — perwersja i perseweracja, perswazja i Persja, Azja, prewencja i desperacja...

— Wariacja, wariacja, ja już dłużej nie mogę, pani, mnie nie stać na poświęcenie. Wojciech — proszę o pallo!

Pani Hania opuściła beznadziejnie ręce, podczas gdy doktór ubierał się pośpiesznie w poczekalni.

Nagle otworzył z powrotem drzwi i z kapeluszem i szalikiem w rękach zwrócił się spokojnie do chorego.

— Czy pan czytał ostatnią cezurę o...

— Cezurę? Przecież cezura jest to średniówka w wierszu umiarowym, pan zaś miał na myśli zapewne cenzurę.

— Prawda — wykrzyknął lekarz, jakby budząc się — oczywiście, że cenzurę. Ma pan grację.

— Ależ nie grację u diaska — denerwował się chory — grację może mieć moja żona, ja mogę mieć tylko rację.

— Więc wszystko jest w najlepszym obrządku.

— Panie, pan nie rozróżnia najprostszych pojęć. Pan powinien się leczyć. Niech pan położy kapelusz i szalik i niech pan tu usiądzie. Wyjaśnię panu wszystkie wątpliwości słownikowe, jakie zakradły się do pańskiego umysłu.

Pani Hania z wdzięcznością spojrzała na lekarza, który w tak cudowny sposób sprowadził chorego na drogę zdrowia.

Tymczasem mąż zapalił papierosa, co bardzo uspokajająco wpływa przede wszystkim na samego chorego i zapytał:

— Jakież więc ma pan wątpliwości, niech pan mówi.

— Co to jest symulacja, dysymulacja, asymilacja i dysymilacja?

— To jest uderzanie klinem w klin, bardzo dziękuję panu, panie doktorze, jestem zdrów.

— Pan jest zdrów. Cóż mnie to obchodzi — bredził doktór — kiedy ja naprawdę nie rozróżniam tych pojęć.

Rekonwalescent spojrzał z przestrachem w ciemniejące granatem okno

— Jak późno — rzekł, obejmując ramieniem żonę — i herbata wystygła. Musiałbym naprawdę zwariować, żeby tego półgłówka...

— Cicho, — uspokoiła go Hania — należy mu się wdzięczność. Niech pan mówi doktorze, proszę, niech pan mówi, wyjaśnimy panu wszystkie wątpliwości.

— Powiedzcie mi jedno — rzekł mieszając się doktór — powiedzcie mi kim ja właściwie jestem: psem czy psychiatrą?

— Pan jest psychiatrą Piesem.

— Dziękuję! — zawołał z promienną wdzięcznością doktór. Już się odnalazłem. Tak, jestem Piesem!

I chwyciwszy szalik i kapelusz wybiegł w śnieżną zawieruchę.

Biedny współczesny Wojciech!

VIA BAJKI

NIEPRAWDZIWY REPORTAŻ DLA PRAWDZIWYCH LUDZI

Zapada wczesny, zimowy zmierzch. Wypełza z wąskich uliczek, czai się pod ścianami domów, czołga się wzdłuż trotuarów. Miasto nasiąka nim powoli jak gąbka. Szary, beznadziejny zmierzch.

To już nie szara godzina, która tak cudownie usposabia do marzeń. To nie liliowe cienie nocy pomieszane z zapachem bzu i kląskaniem słowików. To nawet nie szarość jesiennej szarugi, wplątanej w akordy deszczowego preludium.

W oślizgłych maskach śródwieczerzu skrada się nuda i melancholia. Nie ta melancholia, która jest skrzydlami silnych, ale ta druga, co ciągnie w głąb rozpaczy, jak kamień uwieszony u szyi tonącego.

„Bo któraż gra jest od życia piękniejsza,

I szczęśliwszego cóż jest ponad życie?"

O ironio poety! Ironio tym boleśniejsza, że niezasłużona.

Wy wszyscy, którzy w młodości budowaliście zamki na lodzie, którzy reformowaliście świat i czyniliście go szczęśliwym, wy dobrze wiecie jakie jest życie. Z szalonych, młodzieńczych snów pozostały tylko zimne, spopielałe resztki bez iskierki nadziei.

Wy, coście marzyli o dalekich podróżach w głąb nieznanych krajów, zadowolniliście się codzienną wędrówką przez te same ulice do biura. Wy, coście śniły o karierze Marleny czy Grety cerujecie mężowskie skarpetki i wylewacie łzy nad przypaloną pieczenią.

Wy, reformatorzy i reformatorki, zapaleńcy, idealiści, przycichliście pokonani szarzyzną, spod władzy której nie umieliście się wyrwać. I teraz jest wam ciężko. I przeklinacie swój los. Nie próbujcie nawet podrywać się do lotu, bo skrzydła wam obciążyły niezapłacone rachunki i okopcone garnki.

Życie nie jest romansem, powiedział ktoś banalnie i może dlatego tylu znalazł naśladowców.

Nie jest? Ale może być!

Trzeba tylko chcieć. Nie pozwolić się wodzić przez los na pasku. Człowiek powinien sobie sam układać przeznaczenie. Tylko sam. O, wtedy nawet nieszczęście łatwiej może znieść, w poczuciu własnej zań odpowiedzialności.

Chcecie spróbować? Maleńki zabieg, niekosztowny i bezbolesny. Zastrzyk poezji. Banały dla Krainy Tulipanów i pojedźcie ze mną w podróż. Nie bójcie się. Nie będzie przepełnienia i powybijanych szyb. Nawet nie musicie płacić za bilet. Zapłacicie potem. Dobrym słowem i uśmiechem. A więc jedziecie? Pewno jesteście ciekawi gdzie. Nie wiem czy nie oburzycie się, gdy wam wymienię kilka stacji. Jesteście przecież dorośli. Macie kłopoty, poważne sprawy. Odsuńcie je na chwilę na bok i w stukocie kół błękitnego ekspresu (nazwijmy go „Marzenie") pojedźcie ze mną tam, gdzie jest zawsze ciepło, gdzie słońce świeci dwadzieścia cztery godz., a wszyscy ludzie są zadowoleni i uśmiechają się wesoło.

Jesteście zdumieni. Pytacie z niedowierzaniem, czy na kuli ziemskiej istnieją takie stacje? Wyznam wam ze wstydem, że na żadnej mapie, w żadnym rozkładzie jazdy nie znajdziecie ich.

Stacja początkowa to „Zapomnienie". Duży, biały budynek, jasno oświetlony. Dalej czarowna, przebłyskująca w mroku wszystkimi barwami „Złuda", a potem prosto via roześmiane „Bajki do końcowej stacji „Wspomnienie".

Zajmujcie miejsca, zamykamy drzwi i odjazd.

Za oknami kładzie się na wyiskrzone śniegiem pola ciemna noc. Na granatowym niebie mrugają szelmowsko gwiazdy. Zmęczone oczy przymykają się same. Nie ma już biedy ani zimna. Gdzieś daleko zostały niezapłacone rachunki i kuchenne zapachy. Nie pamiętacie o tym. Porzuciliście na pół godziny dzień dzisiejszy dla przeszłości.

Mijamy „Złudy". I już was nic nie dziwi. Naturalną rzeczą jest ten ekspres, pędzący w czarną noc bez konduktorów i maszynisty. Nie dziwi was cicho grająca muzyka ani niebieskie światło nieznanych lamp. Jesteście w świecie baśni. Tak zdaje się nie dawno czuliście się tam jak u siebie. Byliście na ty z karzełkami i dobrą wróżką, oglądaliście z bliska szklane góry i śpiące królewny. A potężni czarnoksiężnicy i Baba Jaga stanowili tylko dodatek dekoracyjny.

Zapomnijcie o tym, że życie pokazało wam prawie samych złych czarnoksiężników i ponure wróżki. Że karzełki i elfy zamieniły się w złośliwe gnomy. Że nie znaleźliście królewicza, który by obudził śpiącą królewnę. Że królewski aksamit i jasne złoto waszego dzieciństwa zamieniło się w satynę i zwykły szych, a srebrne zbroje rycerzy w pobielaną blachę.

Uwaga! Dojeżdżamy do stacji „Bajki" i tu zatrzymamy się dłużej. Wyjrzyjcie przez okno. Na peronie kręci się mnóstwo osób. Wydają się jacyś bliscy, znani. Przypatrzcie się bliżej. Ależ tak, to Wyrwidąb i Waligóra spacerują, objąwszy się przyjacielsko. A opodal wsparty o kamienną balustradę stoi Tomcio Paluch w siedmiomilowych butach. Dalej już bez trudu rozpoznacie Czerwonego Kapturka, królewnę Śnieżkę i rycerza Niezginka. Pomiędzy nimi tłum karzełków, wróżek, rycerzy. Chodzą, rozmawiają, stają grupkami. Są u siebie w domu. Wiecie co? Zaprośmy ich do wagonu. Jedno skinienie i barwny tłum wsiąka w czarną długość ekspresu.

Gwizd i jedziemy ku Wspomnieniom. Błękitny ekspres pędzi przed siebie z stukotem kół, z zgrzytem hamulców, z sykiem pary. Roztrąca ciemną noc jak fale morskie. Przelatuje z hukiem obok cichych wiosek, mija czarne ściany lasów. Wyrywa z uśpienia małe sarenki i przyprawia o bicie serca długouchego zajączka.

Zazgrzytały hamulce, rozpędzony ekspres sapnął, zadrżał jak śmiertelnie znużony koń i... stanął.

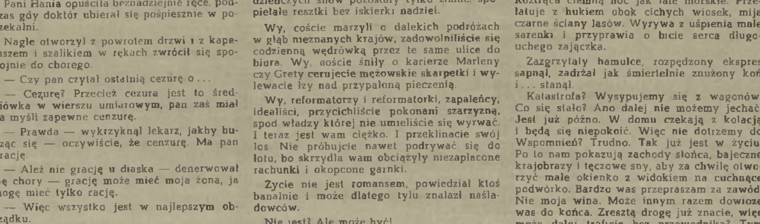
Katastrofa? Wysypujemy się z wagonów. Co się stało? Ano dalej nie możemy jechać. Jest już późno. W domu czekają z kolacją i będą się niepokoić. Więc nie dotrzemy do Wspomnień? Trudno. Tak już jest w życiu. Po to wam pokazują zachody słońca, bajeczne krajobrazy i tęczowe sny, aby za chwilę otworzyć małe okienko z widokiem na cuchnące podwórko. Bardzo was przepraszam za zawód. Nie moja wina. Może innym razem dowiozę was do końca. Zresztą drogę już znacie, więc może dalej trafficie bez przewodnika? Tym czasem do widzenia.

Acha, pewno jesteście ciekawi co ma oznaczać błękitny ekspres? Całkiem proste. To życie. Wasze zwykłe, szare życie. Tylko zaobserwowane pod kątem szczęścia i marzeń. A śpiące królewny i dzielni rycerze? O, tych jest dość na świecie. Tylko nie umiecie ich szukać. Nie potraficie do przyziemnego realizmu waszych dni wstrzyknąć odrobiny poezji. A to dobrze robi. Na nerwy i na samopoczucie. Możecie mi wierzyć. Zresztą przekonaliście się sami. Podróż była nieskończona, a mimo to jest wam jakoś raźniej. I uśmiechacie się. Wprawdzie przez łzy, ale to nie szkodzi. Symbolicznie.

Irena Orwid.

SOLIŚCI

Rys. i tekst Pawl.



Molek partię ma solową,
Głos natęża — zmienia postać,
Krzywi gębę — trzęsie głową;
Chce on Carusowi sprostać.

Lecz poznała się publika
Na baranim tu talencie —
Molek z sceny szybko zmyka;
Zgniłe jaja ma w prezencie.

Knolek zaś tenora tonem
Śpiewał arię — użył sprytu;
Bo na plecach z megafonem,
Wzbudził podziw, dreszcz zachwytu.

Wraca więc uszczęśliwiony,
Na nas ledwie spojrzeć raczy;
Bukietami obdarzony,
Przez olśnionych tu słuchaczy.

Widzenie

ST. KRZYŻANOWSKI

Mrok coraz gęstszy prószyć począł na świat szarzyzną rozmazywać kontury przedmiotów. W kościele OO. Bernardynów, mrocznym i za dnia nawet, ściemniło się zupełnie. . . . „Amen" . . . Ostatnie słowo modlących się w stallach mnichów odbiło się głuchym echem między filarami, zaszemrało u strzelistego, gotyckiego stropu i zamarło. Po kamiennej posadzce zastukały trepy wychodzących.

Przeor Antoni wstał ze swego miejsca. Był to staruszek wysoki, chudy, o twarzy pooranej siecią drobnych zmarszczek, biegnących w różnych kierunkach. Resztki siwych włosów okalały łysą czaszkę. Z gromady wychodzących zakonników oderwał się jeden i podszedł ku przeorowi: „Wielebny ojcze, chodźmy, pora na spoczynek!" Ujął pod ramię przeora. O. Antoni uśmiechnął się i potrząsnął głową. „Idźcie, ja jeszcze zostanę trochę; — różaniec odmówię . . ." „Ojcze wielebny, dnia nie ma, żebyście do późnej nocy w kościele nie siedzieli, toć trzeba zdrowie szanować w waszym wieku!" Staruszek uśmiechnął się znowu: „Ad maiorem Dei gloriam!" Wyszeptał. „Idźcie", powtórzył zwalniając ramię od ręki zakonnika, „Dziś niedługo zabawię!" Mnich skinął głową, skłonił się i odszedł. Chwilę jeszcze słychać było jego kroki, dudniące głucho w korytarzu. Przeor został sam.

W kościele było ciemno zupełnie; jedynym jaśniejszym punktem była płonąca przy ołtarzu wieczna lampka. Rubinowy jej płomyk drgał, chwilami przygasając zupełnie, to znów rozpalając się. W mroku majaczyły niewyraźnie ciemne kontury wysokich stalli i czarna plama głównego ołtarza. Ojciec Antoni postał chwilę na środku prezbiterium, po czym skierował się ku swemu klęcznikowi, stojącemu niedaleko wejścia, w głębokiej niszy. Było to jego ulubione miejsce, gdzie co wieczór, po skończonych zajęciach dziennych modlił się samotnie długo w noc.

„In nomine Patris et Filii . . ." Przeżegnał się szeroko, biorąc w ręce wiszący u pasa różaniec. Oparł głowę na splecionych dłoniach i począł się modlić, ale nie mógł dziś jakoś skupić rozbieganych myśli, które mimo woli biegły gdzieś daleko, w minione dawne czasy. Walczył z tym, ale po chwili uległ; przymknął oczy i zatonął w marzeniach . . .

„. . . Szumią wiekowe modrzewie wokół starego dworku, chylą się nad nim — to jego dwór rodzinny, gniazdo skąd na świat wyfrunął. Troje ich było w domu. Brat najstarszy, on średni i siostra najmłodsza. Brat, Aleksander, lubił polowania i zabawy, wesołe towarzystwo i wino. Czas spędzał poza domem na pijatykach i hulankach, aż, kiedyś po pijanemu zrobił awanturę ojcu i opuścił dom. Jakiś czas widywał się z nim potajemnie, ale potem wyjechał gdzieś, za granicę szczęścia szukać — i ślad po nim zaginął. Nie wie nawet, czy żyje jeszcze. Wkrótce potem siostra wyszła za mąż. On został najdłużej w rodzinnym domu. Ojciec, despota nie znoszący sprzeciwu, pragnął z niego zrobić rolnika, cóż, kiedy nie czuł do tego zamiłowania. Od lat dziecinnych o czym innym marzył i śniły mu się suknie zakonne i uboga cela, ale ojciec nawet myśleć o tym nie chciał, grożąc że mu wybije z głowy te zamiary. Widocznie jednak przeznaczone mu było służyć Bogu. Nocą uciekł z domu i oto 60 lat już mija, odkąd przywdział brązowy habit. Z początku było ciężko i tęskno. Przyzwyczajonemu do wygodnego życia, twarda była prycza klasztorna i ciężki habit, ale zmógł się, a z czasem pokochał to życie. Ale zawsze chciałby sędziwy przeor ujrzeć jeszcze przed śmiercią strony rodzinne. Rodzice dawno już pewno nie żyją . . .

Zatopiony w marzeniach staruszek ocknął się nagle, bo mu się zdawało, że usłyszał cichy dźwięk dzwonka. Spojrzał przed siebie i zamarł w zdumieniu. Ciemny dotychczas kościół jaśniał blaskiem, jarzył się tysiącem świateł. Oniemiałemu przeorowi zdało się, że widzi jakieś postacie, ubrane w ciemne habity. Przetarł oczy. Tak. Cały kościół wypełniał tłum zakonników: siedzieli w ławkach, stali pod ścianami, lub klęczeli na posadzce. O. Antoni spojrzał ku prezbiterium i zdrętwiał: w stallach siedzieli również mnisi, ale każdy z nich miał nad głową świetlisty krąg, błękitnawo świecący bladym światłem. Przeor przesunął osłupiały wzrok po zapełniających kościół postaciach. Zatrzymał się spojrzeniem na służącym do mszy braciszku. „. . . Przecież to brat Augustyn, który w zeszłym roku umarł, a ten drugi — to brat Filip, także już dawno nie żyjący! . . ."

Zakonnik, celebrujący Mszę, począł czytać Ewangelię. Wszyscy powstali. Ojciec Antoni również. Organy grały cichutko, przejmująco. Przeorowi zdawało się, że tą dziwną muzykę słyszy nie tylko uszami. Odczuwał ją całym sobą. Płynęła słodkimi dźwiękami, cudowna i nieziemska. Ojciec Antoni spostrzegać począł w tłumie więcej znajomych osób, które dawno zeszły ze świata. Zadzwoniły cichutko dzwonki, a kapłan przy ołtarzu powolnym ruchem wzniósł w górę Hostię. Wszyscy padli na kolana. Ojciec Antoni nie był pewny, czy żyje jeszcze czy jest już na innym świecie. Pochylił się głęboko i modlił się żarliwie. Stracił zupełnie rachubę czasu, nie wiedział, czy klęczy już godzinę, czy dłużej, czy to wszystko jest rzeczywistością, czy tylko ułudą zmęczonych zmysłów. Kiedy znów podniósł oczy, Msza miała się ku końcowi Siwy mnich przy ołtarzu odwrócił się i kreślił w powietrzu szeroki krzyż. Cały tłum powoli ruszył ku niskim okutym odrzwiom, które prowadziły do lochów z grobami zakonnymi".

— Wracają do siebie! — pomyślał przeor i lekki dreszcz przebiegł mu po plecach.

W miarę jak wychodzili, gasły światła, główny ołtarz tylko pozostał oświetlony. Wpatrzonemu weń przeorowi wydało się, że to światło posuwa się ku niemu, wypełniając całą nawę. Jakieś postacie szły ku niemu, otoczone świetlaną aureolą. Miał dziwne wrażenie, że staje się lżejszy, jakby zrywał jakieś nici, łączące go ze światem. W uszach brzmiały mu jakieś śpiewy niebiańskie. Uczucie nadludzkiego szczęścia rozpierało mu piersi.

— Panie, nie jestem godzien! — wyszeptał. Były to jego ostatnie słowa.

•

Świtało już, gdy dwu zakonników wsunęło się do kościoła. Jeden z nich, młody braciszek, dziecko prawie, podszedł do klęczącego w klęczniku przeora.

— Wielebny Ojcze! — zawołał półgłosem.

— Wielebny Ojcze! — powtórzył, pociągając go za szeroki rękaw zakonnego habitu, a gdy i tym razem nie otrzymał żadnej odpowiedzi, odwrócił przestraszoną twarz ku starszemu i wyszeptał:

— Ojcze Bazyli, przeor pomarł!

ZWYCIĘSTWO MIŁOŚCI

JERZY EGLICZ

'Od gór, skalnych urwisk i turnii szedł złotawo-liliowy mrok. Roziskrzył się bladymi ognikami gwiazd na granacie nieba, rozchylił mgły przetkane pośród hal i regli różem lekkim, dźwięczącą melodią „Ave Maria", rozbrzmiał nad polami i ugorami.

W dali na horyzoncie lśniły szkarłatem ogni granitowe skalne złomy, olbrzymie niby baszty jakichś zamczysk wokół kotliny rozsiadłe. Z otchłani przepaści wstawały wieczorne opary opalowo-błękitne, przejrzyste i jakby zjawy nieziemskie pełgały swymi kłębiastymi cielskami pośród ryjących przestrzeń urwisk.

Na tarasie sanatorium siedziało kilka osób. Twarze ich blade i zmęczone wyrażały bezdeń smutku i cierpienia, tylko oczy dziwnie szklące pałały gorączkowym blaskiem.

Ogromny park zatapiały zwolna cienie nadchodzącej nocy, jedynie gdzieniegdzie jeszcze błąkała się jakaś zagubiona wstęga liliowego światła, wreszcie sinawa poświata zalała wszystko.

Jeden z pacjentów, wątły, smukły młodzieniec otulił się dokładniej pledem, zapalił nerwowym ruchem papierosa i naraz jakby wyrwany z podróży gdzieś po światach marzeń, lekko zachrypniętym głosem przemówił:

— Czy zastanawialiście się kiedy, państwo, po co my właściwie żyjemy? — zakaszlał sucho, dławiąco. — Tam, za murami naszego sanatorium wre życie, praca, prężą się ramiona do czynu — tu u nas niema pustka bezsensu.— Wrażliwymi długimi palcami przesunął po białym czole.

— Nie można w ten sposób, panie Jurku, pewnych przejawów życia tłumaczyć. Życie bowiem składa się nie tylko z rozkoszy i radości, musi także znaleźć się w nim miejsce i na cierpienia. — Starszy o chudej twarzy ksiądz wbił w niego swe szare, spokojne oczy.

— Cierpienie? Ciągle tu o nim słyszę, ustawicznie wokół mnie się przewija a ja przecie jestem młody i pragnę czynu, życia, zmagania się z nim! A całe moje życie wskutek owej choroby wydaje mi się tak niepotrzebnym!

— Aby rzucić się w wir życia, musi się być do niego przygotowanym — zaczęła piękna, czarująca blondyna, muskając go pieściwym, czułym wzrokiem.

Nad iglicami turni wypełzł blady sierp miesiąca, przesycił sinawymi pasmami wlokące się tam i sam mgły i płynął dalej wolno, posuwiście, wlokąc za sobą srebrzyste smugi blasków.

Z cieni wychyliła się blada ręka Jerzego o długich palcach i utknęła oświetlona bladymi promieniami księżyca rażąco biała.

— Kiedy, widzi pani, życiowe przejścia bywają czasem tak ciężkie i tragiczne, że trudno się z nimi pogodzić.

— Nie, panie Jurku! Owe sprawy trzeba traktować z mocą a zarazem z poddaniem się woli Wszechmocnego. Bo choroba czy ból stają się niekiedy błogosławieństwem, — zaduma dziwna osiadła na jej ustach, zapatrzenie fiołkowych oczu sięgało hen gdzieś w odległe przestrzenie.

Nagle ocknęła się.

— Tak, ale istnieją pewne jednostki, które załamują się pod jego wpływem — odparł młodzieniec.

— To jedynie chwilowy dowód słabości, panie Jurku, lub niewytrzymałości ustroju nerwowego, a później znów otrząsa się człowiek i idzie do boju dalej — oczy kobiety płonęły gorączkowym blaskiem.

— Tylko jedno, pani doktorze, trzeba mieć jakiegoś bodźca, który by dodał nam sił i otuchy — na twarzy jego malował się głęboki smutek.

Objęła go czułym spojrzeniem.

— Myśli pan o uczuciu?

Wpatrzył się w nią badawczo, jakby sondował, badał najgłębsze tajniki jej duszy a dziwny jakiś cień mglił się w jego oczach. Potem owinął się mocniej pledem i zamilkł.

Przysunęła się do niego bliżej. Jej oczy otchłanne, mieniące się, jasne, płonęły krystalicznym blaskiem, były świetlane, przejrzyste.

— Panie Jurku — głos jej drżał niskimi, kojącymi odcieniami, nabierał atłasowych, gorących akcentów — proszę być dobrej myśli. Wiem, dzisiaj badałam pana — znajduje się pan na najlepszej drodze do wyzdrowienia — miękkim ruchem ujęła jego rękę — przed panem życie, sława, majątek.

Twarz Jerzego promieniała. Wpił w nią swe źrenice, patrząc z jakimś zachwytem czy upojeniem, a ona nachyliła się ku niej nisko i zatonął w szkarłatnym pocałunku.

A na niebie drgały intensywną purpurą gwiazdy.

•

I spłynęły dnie jasne, świetliste, dawna pustka niebytu przemieniła się w pełnię. Słońce świeciło jakoś promienniej, błękit nieba nabierał szafirowych odcieni, mieniąc się niby pierścień bezcenny tęczą barw.

Niegdyś beznadziejne, szare dni sanatoryjnego bytu przepoiły kryształowe jej oczy, świat śmiał się kaskadami przejrzystych blasków.

Jerzy z godziny na godzinę czuł się coraz lepiej — w pachnące jesienne wieczory snuł się z nią, po alejach parku — radosny, roześmiany, wesoły. Zwolna nabierał sił — zaczął pracować. W chwile poobiedniej ciszy, kiedy świetlista szklistość kładzie się smugami tęczowymi na białe tarasy sanatorium a baszty turni płoną diamentami słonecznych promieni — snuł baśnie czarowne o swym przyszłym życiu — ukojony, spokojny.

To znów w liliowe momenty zmierzchu, gdy ciemń zapadającej nocy walczy z otokami jasności siedzieli zapatrzeni, zadumani w górskie żarzące się szkarłatem szczyty, opowiadając sobie cuda promienne, pełne uniesień i wzlotów, w podobłoczne światy.

Aż któregoś dnia opuścili sanatorium.

Głębokie gorące uczucie zwyciężyło zło.

ODPORNOŚĆ ZWIERZĄT NA TRUCIZNY

Zastanawiano się nieraz, jak się to dzieje, że np. ślimak może pobierać bez szkody takie dawki strychniny, które byłyby śmiertelne dla człowieka, że wiele gąsienic motyli jak np. zawisaków żywi się wyłącznie roślinami trującymi, że głównym pokarmem dziuboroźca są ziarna strychniny, zaś skowronek i przepiórka spożywają bez jakichkolwiek złych skutków silnie trującą cykutę wodną. Kury i szczury są 400 razy bardziej odporne na działanie atropiny niż ludzie. Jeż a nawet świnia są zupełnie niewrażliwe na ukąszenie jadowitych węży. Tę niewrażliwość na trucizny, którą spotyka się zwłaszcza u niższych zwierząt już niejednokrotnie poddawano naukowym badaniom.

Uczeni doszli do bardzo ciekawych rezultatów. Na przykład lis pustynny i kangur, które żyją w okolicach obfitujących w skorpiony są zupełnie niewrażliwe na ukłucia tego budzącego grozę pajęczaka. Natomiast zwierzęta te umierają po zastrzyknięciu im jadu skorpiona, o ile żyją w okolicach wolnych od tych pajęczaków. Widzimy więc, że niewrażliwość na truciznę powstawała w tym wypadku zwolna przez stopniowe przyzwyczajanie się do niej. Podobnie ma się sprawa z morfinistami, którzy mogą pobierać większe dawki morfiny niż inni ludzie.

Bardzo ciekawym jest sposób, w jaki rak chroni się przed swymi wrogami. Nosi on na grzbiecie trujące anemony morskie. Żadna ryba ani polip morski nie zaatakuje raka mającego na grzbiecie anemona morskiego, gdyż anemon morski wystrzela z maleńkich torebek truciznę działającą śmiertelnie w bardzo krótkim przeciągu czasu, gdy tylko dostanie się na skórę zwierzęcia. Sam rak jest zupełnie niewrażliwy na tę truciznę. Natomiast raki, które nie noszą na sobie anemonów morskich, giną skoro tylko jad ten dostanie się do ich krwi. Również i tu przyzwyczajenie wyrabia ową niewrażliwość u zwierzęcia, którą odznaczają się do pewnego stopnia pszczelarze i zaklinacze węży. Nowoczesna nauka stoi na stanowisku, że trucizny niektórych zwierząt służą im nie tylko do obrony, lecz również odgrywają ważną rolę w innych czynnościach ich ciała. Tak np. ślina trująca węży pomaga im w procesach trawiennych. Jest rzeczą znaną, że w świecie zwierzęcym oprócz trucizn w formie płynu spotyka się również pary trujące. Wystarczy tu wymienić choćby osławionego śmierdziela, który wydziela z siebie gaz znany w chemii pod nazwą „merkaptan". Gaz ten znajduje się również w ślimaku morskim. W starożytności wyrabiano z ślimaków morskich farbę purpurową, którą następnie farbowano togi dostojników. Możliwe, że wielkie zamiłowanie do perfum u patrycjuszów rzymskich można wytłumaczyć chęcią zagłuszenia zapachu siarki wydobywającego się że świeżo farbowanej togi.

Poza tym jest cały szereg zupełnie niewinnych zwierząt, których krew w zetknięciu z ludzką krwią wywiera działanie trujące. Do nich należy również krew węgorzy i dlatego przez długi czas uchodził węgorz za rybę trującą. Trucizny żrące, które powodują zapalenia i podrażnienia, produkują kantarydy. Trucizny oszałamiające lub narkotyzujące znajdujemy w opium, w indyjskich konopiach, w cykucie i w wilczych jagodach. Również i ukąszenie węży wywiera podobne działanie. Większość trucizn zwierzęcych stanowią septyczne trucizny wywołujące w organizmie procesy podobne do g n i c i a. Istnieją też trucizny działające narkotyzująco i drażniąco, działają one oszałamiająco i wywołują równocześnie zapalenia. Znajdujemy je u wielu grzybów i roślin.



Wreszcie przekonałam się jak gorąco mnie kochasz!
(Wiener Illustrierte)

— Jakże sobie pani radzi z pensją swojego męża?
— Z pensją sobie radzę, ale nie mogę sobie poradzić z miesiącem. Zawsze jest za długi o dwadzieścia dni.

*

Antoni udał się po poradę do lekarza. Po zbadaniu lekarz napisał receptę i powiada:
— Co wieczór zażyje pan cztery łyżki stołowe tego lekarstwa.
— Niestety, nie jest to rzeczą możliwą, panie doktorze!
— Dlaczego?
— Bo w domu mam tylko trzy łyżki stołowe.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 10 (31)
pod redakcją mistrza Europy i świata dra A. Aljechina

Pozycja z partii Nr 2

Czarne: Zollner. Kg8, Hg6, Wd8 i e8, Gc6, Se6, piony: a7, b7, e4, f7, g7, h7 (13).
Białe: Seibold. Kg1, Hc2, Wc1 i c3, Sd2, Ge2, piony: a3, b5, e3, f2, g2, h2 (12).
Czarne są na posunięciu i wygrywają.

Rozwiązanie problemu Nr 7

1. b2—b4! (grozi 2. W—f5) Wc8—c5 2. b4×c5 a3—a2 3. c5—c6! (grozi znowu 4. W—f5) Gd8—c7 4. c6×b7 dowolnie 5. b7×a8 H (lub G) mat. Nieśmiertelne dzieło!

Partia Nr 102 (104)

Białe: Dr Aljechin — Czarne: Napolitano
grana w turnieju o mistrz. Europy w Monachium w r. 1934
Obrona sycylijska.

1. e2—e4 c7—c5	36. We4×b4 Ge7—g5
2. Sg1—f3 Sb8—c6	37. Kg3—g4! Gg5×e3
3. d2—d4 c5×d4	38. Kg4×f5 Ge3—d2
4. Sf3×d4 Sg8—f6	39. Wb4—d4 Gd2—e3
5. Sb1—c3 d7—d6	40. Wd4×d6 Kf8—e7? [12])
6. Gf1—b5 Gc8—d7	41. Wd6—d7+ Ke7—f8
7. Gc1—g5 e7—e6	42. Sb6—c4 Ge3—c1
8. 0—0Gf8—e7	43. Wd7—d1 Gc1—h6
9. Sd4—b3 [1]) a7—a6	44. Wd1—d6 Gh6—c1
10. Gb5—e2 b7—b5	45. Wd6—d1 [13]) Gc1—b6
11. Gg5×f6 g7×f6	46. Sc4—e5 We8—c8
12. a2—a4 b5—b4	47. c2—c3! Gh6—g7
13. Sc3—a2 Hd8—b6	48. Wd1—d5 Kf8—e8
14. Sa2—c1 Sc6—a5! [2])	49. Wd5—d5 Wc8—a8
15. Ge2—d3 Gd7—c6 [3])	50. Se5—c4 Ke8—d8
16. Hd1—h5! Sa5×b3	51. Sc4—b6 Wa8—a7
17. Sc1×b3 f7—f5 [4])	52. Wa5—c5 Wa7—b7
18. e4×f5 Wb8—g8	53. a4—a5 Kd8—e7
19. g2—g3 Wg8—g5 [5])	54. Wc5—c6! Ke7—d8
20. Hb5—e2? h7—h5	55. Wc6—c8 Kd8—e7
21. He2—e3? [6]) Hb6×e3	56. Wc8—a8 Ke7—d6
22. f2×e3 e6—e5	57. Wa8+a6 Kd6—c5
23. Sb3—a5 Gc6—d5!	58. Wa6—a8 Kc5—b5
24. Wa1—d1 [7]) h5—h4	59. Sb6—d5 Kb5—c4
25. Gd3—e2 Gd5—e4	60. a5—a6 Wb7—b5
26. Ge2—f3 Ge4×f3	61. Wa—c8+! Kc4—b3
27. Wf1×f3 Wa8—c8! [8])	62. a6—a7! Wb5×d5+
28. Wc1—c2 e5—e4 [9])	63. Kf5—e4 Wd5—e5+
29. Wf3—f4 h4×g3	64. Ke4—f4 We5—a5
30. h2—h4! [10]) Wg5—h5	65. a7—a8H Wa5×a8
31. Kg1—g2 Wh5×h4	66. Wc8×a8 Kb3×b2
32. Kg2×g3 Wh4—h5	67. c3—c4 Gg7—d4
33. Wf4×e4 Wh5×f5	68. Kf4—e4 Kb2—c3
34. Sa5—c4! [11]) Ke8—f8	69. Wa8—a3+ Kc3—b4
35. Sc4—b6! Wc8—e8	70. Ke4×d4

Czarne poddały się.

U w a g i :

[1]) Grając 9. a4! mogły białe zapobiec kontrze czarnych, rozpoczynającej się ruchem b5.
[2]) Teraz było ważnym przeszkodzić ruchowi a4—a5.
[3]) Czarne nie powinny dopuścić do następującego teraz wypadu hetmana, w tym celu należało grać 15 . . . h5! z mniej więcej równymi szansami.
[4]) Ta ofiara piona jest niewystarczającą, lecz także po 17 . . . d5 18. Wf—e1! położenie białych byłoby zdecydowanie lepszym.
[5]) Na to powinny białe odpowiedzieć po prostu 20. H×b7, a jeśli 20 . . . 0—0—0 lub 20 . . . K—d7 to 21. H×f7 z rozstrzygającą przewagą. Następne dwa posunięcia białych otwierają znowu widoki remis przeciwnikowi.
[6]) Wskazanym było teraz: 21. f×e3 h4 22. e×f K dowolnie 23. H—e3! itd.
[7]) Jeśli 24. e4 to G—d8.
[8]) Teraz czarne nie powinny przegrać.
[9]) Niedokładnie zagrano. Należało grać 28. h×g i po 29. h×g W×g3 30. W×f5 dopiero e4.
[10]) Białe mają znowu widoki wygrania partii.
[11]) Od tej fazy gry okazuje się skoczek silniejszym od gońca przeciwnika.
[12]) Widoczna strata tempa, lecz końcówka była w każdym razie na dłuższą metę nie do utrzymania.
[13]) Także 45. W×d6 W—e2 46. b4 W×c2 47. W—c6 itd. prowadziło do wygranej białych.

Fela udała się do sławnego medium, chciała ona ujrzeć ducha swego zmarłego męża. Mimo wszelkich wysiłków zaklinacza duchów, duch zmarłego nie zjawia się. Wreszcie zniecierpliwione medium pyta:
— Jaki zawód miał pani mąż za życia?
— Był kelnerem.
— Teraz rozumiem zachowanie się jego ducha. Należało mi to od razu powiedzieć.

*

Dwaj przyjaciele opowiadają sobie o zaletach swych narzeczonych. W trakcie rozmowy pyta Emil swego przyjaciela Karola:
— Czy twoja narzeczona potrafi zachować powierzoną jej tajemnicę?
Karol skinął głową:
— O jeszcze jak! Byliśmy już trzy tygodnie ze sobą potajemnie zaręczeni, a nic mi o tym nie powiedziała.

*

Spotyka się dwóch kompozytorów piszących szlagiery.
— Ależ ludzie krytykują twoje utwory — mówi jeden złośliwie.
— O tobie niestety wszyscy milczą — odpowiada drugi.

*

Po pięciu latach małżeństwa pyta się żona:
— Czy pamiętasz Janku, co powiedziałeś wtedy gdyś mi się oświadczył?
— Co takiego powiedziałem Julciu?
— Powiedziałeś, że nie jesteś mnie godny.
— No i?
Żona wzdycha:: — Doszłam właśnie do przekonania, że powiedziałeś wtedy prawdę.

*

— Ach jaką niemiłą przygodę miałem wczoraj — mówi Nowak do swych przyjaciół.
— No cóż takiego cię spotkało?
— Poszedłem z moją żoną do kina. Przypadkiem zajęła obok mnie miejsce młoda dziewczyna. Gdy tylko mi się przyjrzała, zawołała z wściekłością:
— Znowu tu cię muszę widzieć ty wstrętny don Juanie, zaczepiający porządne kobiety na ulicy.
— To rzeczywiście, niemiła historia. I ty tej dziewczyny rzeczywiście nie widziałeś przedtem nigdy na oczy.
— Hm, tego nie mogę powiedzieć.

*

— Przepraszam, czy można wiedzieć ,ile wiosen pani sobie liczy?
— Kobietę nie należy nigdy pytać o jej wiek?
— Jakto, więc pani już jest w tym wieku?

*

Rzecz dzieje się m handlu ptaków.
Klientka: — Czy tylko ta papuga naprawdę umie gadać!
Sprzedawca: — Jeszcze jak!... Jej poprzednia właścicielka sprzedała ją tylko dlatego, że jej nigdy nie chciała dopuścić do słowa.

— Wierzysz przyjacielu w wędrówkę dusz?
— O, tak, przed rokiem, gdym ci pożyczył 20 złotych byłem osłem.

*

W małym hotelu na prowincji pewien podróżny protestuje:
— Zostawiłem buty pod drzwiami i nawet ich nie ruszono!
— Oh, wie pan — odpowiada właściciel z uśmiechem zadowolenia — w naszej okolicy nie ma złodziei.

*

— W jaki sposób przebił pan oponę? — pyta przejeżdżający naprawiającego na szosie samochód.
— Wjechałem na flaszkę.
— Nie zauważył jej pan?
— Nie! Ten człowiek miał ją w kieszeni!

*

— A więc młody człowieku, życzę ci wszystkiego najlepszego na nową drogę życia. Dzisiejszy dzień jest najpiękniejszym dniem twego życia.
— Ależ przepraszam, nasz ślub odbędzie się dopiero jutro!
— Właśnie dlatego mówię, że najpiękniejszy.

*

Sędzia: — Czy nie było wam żal tak pokaleczyć człowieka dla marnych 3 złotych.
Oskarżony: — Naturalnie, ale przecież nie wiedziałem, że było tak mało.

*

— Taką szkodę zrobiłeś, mężulku, żeś nie uważał i na nowy dywan wylał tyle atramentu.
— Ej... co za szkoda? Mamy przecież w kancelarii atrament za darmo.

*

— Maryniu! Jakżeś ty długo gotowała te jaja?
— Dziewięć minut, proszę pani.
— Dlaczego? Przecież ci wyraźnie powiedziałam, że jajo na miękko gotuje się najdłużej trzy minuty.
— Ano tak, jedno... ale pani kazała ugotować trzy jaja, a trzy razy trzy to dziewięć!

*

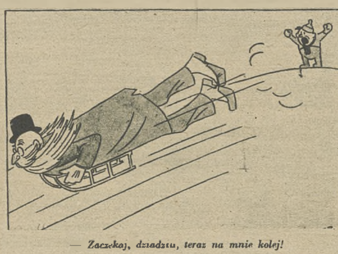
— Więc liczę na pana, że przyjdziesz. W czwartek znajdziesz pan też całe grono ładnych dam.
— Przepraszam, ale jeżeli przychodzę, to wyłącznie dla pani tylko, a nie dla ładnych pań.

*

— Wie pan, kiedy siedzę przy fortepianie, wpadam w taką ekstazę, w takie upojenie, że zapominam o wszystkich.
— A jednak powinna pani mieć na względzie.
— Kogo?
— Tych co panią słuchają.

*

Pani: — Bardzo to ładnie z twej strony Marysiu, że mimo iż wychodzisz za mąż, chcesz u mnie nadal pozostać. A któż jest twym narzeczonym?
Służąca: — Syn pański, łaskawa pani.



— *Zaczekaj, dziadziu, teraz na mnie kolej!*
(Reichsportblatt)

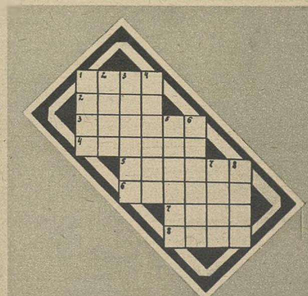
ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— *Popatrz jak pięknie jest tam w dole.*
— *Nie rozumiem doprawdy, po co w takim razie przyprowadziłeś mnie tu tak uciążliwą drogą, by mi to oznajmić?* (Wiener Illustrierte)

Rozrywki umysłowe

MAGICZNE SCHODY
ul. W. Reichel z Jasła



Należy znaleźć 8 czteroliterowych wyrazów według poniższego znaczenia i wpisać je w kratki tak, by mogły być poziomo i pionowo czytane jednobrzmiąco.

Znaczenie wyrazów:

1. rzeka w Hiszpanii; 2. środek nasercowy; 3. postać z Lilli Wenedy; 4. inaczej dziewiesił, korzeń ałunu (nazwa bot.); 5. jedna z planet; 6. żółta glinka nawiana; 7. lotnik mityczny; 8. tytuł angielski.

ROZWIĄZANIA Z NUMERU 2

TRUDNY ZAKŁAD FAMILIJNY

Wesoły wuj usiadł najpierw na krześle, potem wstał z niego, a siostrzeniec zajął jego miejsce. Potem usiadł wuj na sofie, następnie na fotelu, a siostrzeniec wykonywał wszystkie jego ruchy. Wreszcie usiadł wuj na podłodze a po nim zajął to miejsce siostrzeniec. Gdy siostrzeniec siedział jeszcze na podłodze, usiadł wuj szybko na ramionach młodego człowieka, czego ten naturalnie nie mógł uskutecznić.

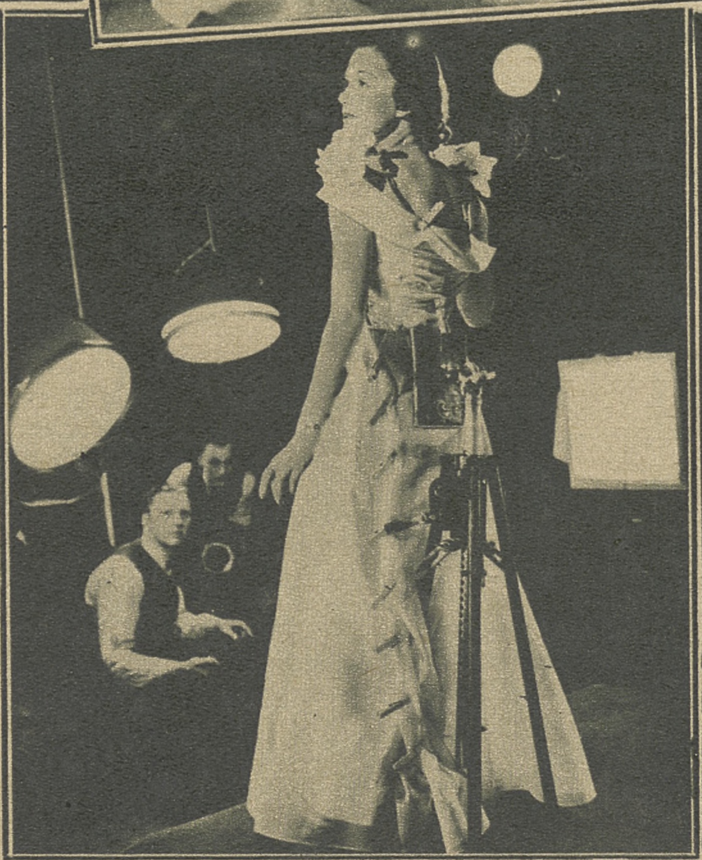
KRZYŻÓWKA

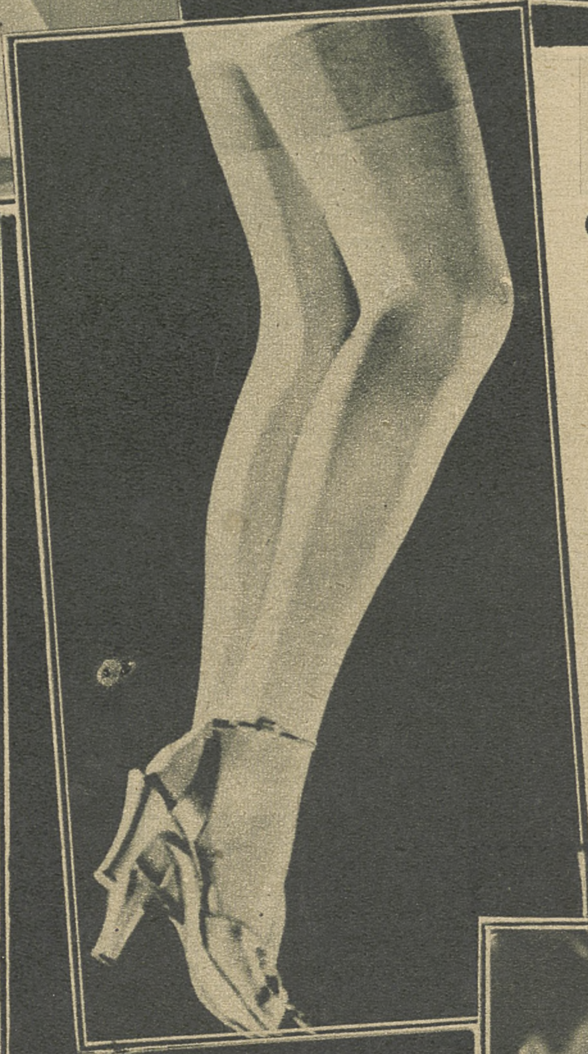
W y r a z y p o z i o m e: Baku, Cypr, doba, dyna, znój, brat, rana, druk, ambo, port, alea, stop, czara, bełt, gaża, dwór, Tybr, pług, zola, ugor, raut, perz, tank, stan, Zeus, awans.

W y r a z y p i o n o w e: błąd, urna, Czad, rola, zbir, jama, bard, tynk, Anna, oaza, Pers, trop, cegła, Atlas, brud, twór, gnat, Amor, Peru, gwar, zbór, agat, pius, zgon, tusz, kłus.









Rzeczywistość i montaż

Gdy otworzymy jakiekolwiek czasopismo i oglądamy dział mody lub reklam najrozmaitszych firm, wzrok nasz spoczywa z przyjemnością na roześmianych twarzyczkach pięknych, wesołych, eleganckich, młodych kobiet. Z obrazów tych promieniuje chęć życia, wabi nas świat elegancji i wyrafinowania. Podziwiamy tam świat beztroskiej wesołości, świat czarów.

Na jednym ze zdjęć widzimy, jak dobrze ogolony młodzian niesie dziewczynę przez zieloną łąkę. Dziewczę to promienieje radością, a loki jej rozwiewa wietrzyk wiosenny. Na błękitnym niebie snują się marzycielsko białe, delikatne obłoki. Na innym zdjęciu widzimy wypielęgnowaną kobietę, piękną i uwodzicielską jak noc letnia, w pełnej finezji sukni wieczorowej. A oto obok podziwiamy dwie zgrabne nóżki koniuszkami palców ledwo dotykające ziemi jakby kpiły z prawa ciężkości. Stanowią one reklamę dla eleganckich pończoch.

Spojrzyjmy jednak na drugą techniczną stronę wykonania tych cudów, które wyobrażają nam te zdjęcia, wtedy cały blask i beztroska znikają bezpowrotnie. Pozostaje jedynie praca, wytrwałość i przede wszystkim wiele dobrego gustu, fantazji i technicznych możliwości ludzkich. W końcu nie wiemy, czy nie należy tych ostatnich walorów wiecej podziwiać niż później gotowe już zdjęcia reklamowe. Zamiast na pokrytej kwieciem łące siedzi dziewczę na twardej, niewygodnej drabinie. Wietrzyk wiosenny został sfabrykowany przy pomocy wiatraka elektrycznego, reflektory odegrały rolę słońca. Wdzięk sukni wieczorowej został uzyskany przy pomocy prozaicznych klamer drewnianych, a aparat żelazny utrzymuje damę w jej nonszalanckiej pozie. Nóżki unoszące się nieomal nad ziemią zostały doprowadzone do pożądanej pozycji bardzo starannie i z wielkim trudem. Następnie całe zdjęcie odwrócono do góry nogami. Odkrywszy te tajemnice techniki musimy przyznać: — A jednak jest to świat czarów.

Fot. Archiw. I.K.P.

